

Z treścią, bo z treścią, ale napiszę co nieco o Ninie Andrycz. Z treścią dlatego, że pani Nina jest osobą budzącą respekt. Jeszcze do niedawna mówiłem zawsze „Andryczówna”, ale nakrzyżowała na mnie: „Niech pan tak o mnie nie mówi, nie jestem dziewicą”. Faktycznie. A mówiłem tak, bo jestem do tej formy dość przywiązany, zresztą zupełnie ona poprawna w języku polskim: Ordonówna, Eichlerówna, Romanówna, Kraftówna... Ale rzeczywiście raczej u nas zanika, a poza tym może „Andrycz” brzmieć mocniej i lepiej oddaje charakter postaci, energię i zdecydowanie niż panińska Andryczówna.

Niezbym dawne spotkanie z panią Niną uważam wciąż za przygodę zawodowo-towarzystwą, choć minęło trochę czasu, od kiedy się zdarzyła, a zdarzyła się w takim porządku chronologicznym: otóż zobaczyłem afisz zapowiadający, że wielka Nina Andrycz pojawi się w małym klubie Ośrodka Kultury. Był taki ładny okres działalności tego ośrodka, że w kameralnym wnętrzu, w saloniowej atmosferze spotykały się tam z publicznością gwiazdy: Maria Malicka, Zofia Jaroszevska, Zofia Niwińska, Kalina Jędrusik, w monodramie wystąpiła Ryszarda Hanin, śpiewał Michał Bajor. Były to bardzo udane wieczory, nic więc oczywiście dziwnego, że poszedłem również na spotkanie z Andryczówną.

Pokazała się tak jak trzeba: w długiej, ciemnozielonej sukni z ciężkiego materiału, w złotych łańcuchach na szyi i z dwoma wielkimi, kwadratowymi pierścieniami na obu rękach, w białym szalu z gronostajów... Dama. Kostium, suknie zawsze pełniły ważną funkcję w jej życiu scenicznym. Nosi je świetnie, dzięki wysokiej sylwetce, znakomitej figurze i wyniosłej postawie, a nosić należało nieraz 20-kilogramowe krynoliny. Lżejsze były, bo tekturowe, korony w jej królewskich rolach. Grała przecież przeważnie monarchinie, arystokratki, wielki miłośnice, kobiety szalone i romantyczne.

O swoich rolach opowiadała na tym spotkaniu z publicznością, opowiadała właściwym jej głosem. Można nie lubić — i wielu ludzi nie lubi tego sposobu mó-

W POBLIŻU ARTYSTÓW

Andrycz — czyli poczucie efektu

WŁADYSŁAW CYBULSKI

wienia, ale trudno nie przyznać, że jeśli jest to maniera, to jej własna i trzeba poddać się owemu zaśpiewowi, intonacyjnemu falowaniu głosu, który raz brzmi jak dziewczęcy szczebiot, raz uwodzicielsko i kapryśnie, to znów odzywa się tonem patetycznym i władczym. Poddałem się, słuchałem, a następnie ten wieczór opisałem pod tytułem „Poczucie efektu”. Nie było to określenie przeze mnie wymyślone, ale wyłowione z wypowiedzi artystki, która z całą otwartością wyznała, że role nasycała zawsze swą ambicją, która jest wielka, chęcią podobania się mężczyźnie i właśnie poczuciem efektu.

Kiedy to „wziąłem i opisałem” w gazecie, przybył do mnie umysłny wysłannik pani Andrycz i wręczył debiutancki tomik jej wierszy (potem ukazał się drugi i trzeci), dając zarazem lekko do zrozumienia, że artystka nie byłaby daleka od aprobowania ewentualnego zamiaru poproszenia jej o wywiad. Jeśli nie byłaby daleka, to postanowiłem się zbliżyć i po krótkich zabiegach telefoniczno-korespondencyjnych pojechałem do stolicy. Pytanie: gdzie mieszka dama sceny? Odpowiedź: tylko przy Alei Róż.

Ja tu o scenie, a wywiad z Niną Andrycz ukazał się w tygodniku „Film”. Kino bardzo rzadko ryzykowało przenoszenie jej sztuki aktorskiej na ekran, jest przecież bliższe realizmowi niż teatr i pewnie sama aktorka z jej cechami teatralnymi z trudem mieściłaby się w tej konwencji. Jeśli jednak kino decydowało się na to ryzyko, to oferowało Ninie Andrycz role bohaterki ekscentrycznych: tancerki w „Uczcie Baltazara” w r. 1954 lub kleptomanki w „Kon-

tracie” Zanusiego z r. 1980. Przed wojną objęła główną rolę w antyhitlerowskim filmie „Uwaga, szpieg”, ale w sierpniu 1939 zdołała nakręcić tylko jedną scenę i wybuchła wojna. Po wojnie zagrała panią Kalergis w „Warszawskiej premierze”, Aleksander Ford zaproponował jej rolę hrabiny w filmie o Ondraszku, ale ubiegli go

Maski od publiczności, dumna z tego, że „nieomal cały naród popłakał się nad losami jej Damy Kameliowej” — jak mi mówiła. A jak mówi! Jak rozmawia, jak prowadzi dialog! W salonach przy Alei Róż słuchałem tego przez bite trzy godziny i był to dla mnie nieustający w swych urokach spektakl jednego aktora.



Czesi, nie powiodły się dwie inicjatywy Andrzeja Wajdy, bo scenariusze zostały odrzucone — i tak Andrycz doszła do przekonania, że związek z kinem nie jest jej widać sądzony.

Za to telewizja stała się miłością odwzajemnioną. Nina Andrycz była pierwszą naszą aktorką, która — jako Izabela Łęcka — wystąpiła przed kamerami polskiej telewizji jeszcze w studiu eksperymentalnym. Potem bodaj pięciokrotnie otrzymywała Srebrne

Nina Andrycz była gwiazdą od zawsze, uchodziła za nią jeszcze w szkole dramatycznej — ze swoją niezwykłą urodą („masz brwi jak dwa łuki triumfalne” — napisała jedna z wielbicielki) i ze swoim talentem, który objawił się od razu w pierwszym sukcesie scenicznym, dając w roli Solange „wzór niedościgły” — jak entuzjastycznie pisał z kolei Iwaszkiewicz. Z takim stażem, z takimi warunkami zewnętrznymi i z taką galerią postaci królewskich, jakie

przedstawiała na scenie, Andrycz nie może być inna niż jest, nawet w kontaktach prywatnych. To skończona autokreacja w każdym calu, a więc obejmująca także pozę i słabotki, które mogą czasem drażnić lub bawić — jak kto woli — ale całość jest imponująco dopracowana.

— Nie nadaję się do zagrania sierotki Marysi — mówiła mi — ale owszem, nadaję się do zagrania Lukrecji Borgii i potwierdzały to portrety z jej wcieleń aktorskich, wiszące na ścianach salonu. Ciekawiło mnie, co było najpierw, co skutkiem a co przyczyną: czy jej osobiste predyspozycje legły u podstaw ról scenicznych, czy też te role właśnie ją ukształtowały? Kawa, koniak, atmosfera domu — chciałem, żeby się zdradziła, pragnąłem zobaczyć artystkę bez maski. Odpowiedziała mi bezbłędnie: że do historycznych i romantycznych postaci dany jej został określony rodzaj odczuwania świata, temperament, maksymalizm w usposobieniu. Z kolei wykonywane emploi nie pozostało bez wpływu na styl bycia (co nie znaczy — powiedziała — żeby w praktyce życiowej chciała mordować królów...) i towarzyszyła jej już później pewna władczość, ton głosu, sposób trzymania głowy.

Niedawno występowała w Krakowie jako Babka w „Tangu” Mrożka. Była to całkiem współczesna Babka — w zewnętrznym potraktowaniu postaci, odbiegającym od tradycyjnego ujęcia. A wcześniej, parę lat temu, dała u nas recital aktorski, prezentując w ciągu jednego wieczoru kilka fragmentów swoich wielkich ról, kilka sylwetek młodych i zakochanych kobiet. Bo to jest taka właśnie pani, która śmiało i świadomie rzuca wyzwanie czasowi, wykazując nieznużony upór i niewypalone namiętności. Jej osobowość, jej indywidualność zdaje się górować nad odgrywanymi bohaterkami, bo to jest aktorka nie tylko z powołania i nie tylko z wykształcenia, ale po prostu z natury, z samej swej istoty.

Kiedy mi otworzyła drzwi i podchwyciła spojrzenie na jej toaletę, powiedziała kokieteryjnie, ale z absolutną pewnością w głosie: „Dobra suknia, prawda?” □